

WACŁAW GRUBIŃSKI.

# Obraz

(NOWELA).

Mowa znakomitego obrońcy szła przez publiczność, jak elektryczny prąd. Prąd ten osiągał chwilami natężenie straszne. Uczuwanie sparaliżowanie płuc, zdławienie serca, wydobywanie się z pod skóry twardych kropli zimnego potu na czole i na falujących skroniach, a ślina w gardle zdawała się być połykanym nożem o dwóch suchych wyszczerbionych ostrzach. Jakaś młoda kobieta dostała spazmów. Woźni sądowi wynieśli ją na kurytarz. Nie zdążyły się przecież zamknąć za nimi wysokie, skrzypiące drzwi, gdy w pierwszej ławce zemdlał jakiś młodzieniec o niewypowiedzianej bladej twarzy i o jasnych, jak len, włosach. Przywrócono mu świadomość kilkoma bryznięciami wody w twarz i chwiejącego się na nogach wyprowadzono z sali posiedzeń. Obydwa te wypadki nie zwróciły uwagi niemal najbliższych nawet sąsiadów, do tego stopnia wszyscy byli pochłonięci przemówieniami wirtuoza-advokata, do tego stopnia każdy był wzruszony.

Wreszcie obrońca skończył, uklonił się sędziom i usiadł. Natłoczona w ogromnej sali publiczność poruszyła się, jak jeden człowiek, i wzięła wspólnie jeden głęboki oddech, jak gdyby zwalwszy z piersi wielki ciężar.

Dopiero teraz spostrzeżono, że dawno już zapadł wieczór, że w oknach spuszczone rolety i że cichem światłem płoną szklane gruszki licznych brązowych kinkietów.

Przewodniczący zwrócił się do podsądnego z zapytaniem, czy nie zechce zabrać głosu, gdyż według litery prawa, ostatnie słowo należy się oskarżonemu.

Oskarżony wstał.

Był to mężczyzna trzydziestokilkuletni, wysoki, dobrze zbudowany, o rysach twarzy regularnych, ciemnooki ciemny szatyn, nie brzydki i nie ładny, ubrany poprawnie, zachowujący się przez cały czas trwania procesu spokojnie, smutny. Gdy teraz się wyprostował tuż obok żołnierza, uzbrojonego w obnażoną szablę, kilkakrotnie rozpalonych żreńców ugodziło weń pytającymi spojrzeniami, niby chmurą bezgłośnych strzał. Zaszepcano i zamilknięto. Wyteżono słuch.

A on, ten „potwór“, według określenia prokuratora, i ten „męczennik“, według słów obrońcy, przeciągnął dłonią po czole i po głęstych włosach, popatrzył kolejno na podłogę u swoich nóg, na sufit wysoko nad sędziami i zaczął głosem nie tyle nieśmiałym, ile zmęczonym:

— Panowie sędziowie...

Zapanowała drętwa cisza.

Oskarżony musnął przelotnie wzrokiem postać swego adwokata, który w tej chwili siedział zwrócony doń tyłem, zajęty nadto skrupulatnym ładowaniem do podniszczonej teki papierów z notatkami.

— Panowie sędziowie—powtórzył podsądny.—To, coście usłyszeli z ust mego obrońcy...

Oskarżony, zamiast kończyć zdanie, znów przeciągnął dłonią po czole i włosach.

— Jestem mu niewymownie wdzięczny—rzekł dalej.—Ale... w rzeczywistości... rzecz się miała zupełnie inaczej.

Natłoczona sala wydała tak hałaśliwy szmer zdumienia, że przewodniczący ujął za dzwonek. Szmer przecież pod władzą rozgorączkowanej ciekawości zacichł równie raptownie, jak powstał.

— Pewnie—ciągnął oskarżony—jeżeli chodzi o zewnętrzny przebieg nieszczęsnych wypadków, które mnie doprowadziły do tej ławy, to mój szanowny obrońca opisał je dokładnie. Tak było, albo prawie tak było, jak on opowiadał. Ale nie o to chodzi, panowie sędziowie. Nieprawdaż? Nie o to przecież chodzi, czy udusiłem swoją żonę, bo że ją udusiłem, tego się nie zapierałem od początku. Chodzi jedynie o to, czy miałem prawo ją udusić. To właśnie i nic innego jest treścią niniejszej rozprawy. Nieprawdaż, panowie sędziowie, to jedno tylko was tutaj zajmuje, nad tem jednym zastanawiał się żarliwie prokurator i obrońca i to jedno, wyłącznie to jedno roznamiętnia szeroka publiczność, nie mogącą się pomieścić w tym ogromnym pałacu sprawiedliwości.

Mówiący zamilkł. Ale nie spuszczał oczu z przewodniczącego. A potem... pociągnął dłonią po oczach, po czole i włosach i spokojnie rzekł:

— Nie dlatego zabieram głos, że pragnę uniknąć kary. Stoje przed wami, panowie sę-

dziowie, bez strachu. Jakikolwiek wydacie wyrok, wysłucham go obojętnie. Zabieram głos tylko dlatego, że chcę położyć koniec nieporozumieniu. Nie chcę, abyście sądzili postać fantastyczną, wymyśloną przez prokuratora, albo przez mojego adwokata. Pragnę was zapoznać z istotnym podsądnym: ze mną i ze sprawą moją; nie chcę, żebyście się zajmowali sprawami tych dwóch dziwacznych postaci, z których jedną czarnym węglem narysował oskarżyciel, a drugą wykuł w śnieżnej białości marmuru obrońca. Wiem, że sprawiedliwość nie jest z tego świata, więc nie sprawiedliwości się od was domagam. Cóż tu mogą ludzie? Może sprawiedliwością byłoby... wskrzesić umarłą? Czyż potraficie wskrzeszać, panowie sędziowie? Tedy przynajmniej wiedźcie, co wiedzieć możecie: w stosunku do kogo musicie być niesprawiedliwi.

— Przywołuję pana do porządku—mruknął niechętnie przewodniczący.

Oskarżony stał przez krótką chwilę, milcząc, pogrążony w myślach, w wspomnieniu; potem odgarnął dłonią gęste włosy z czoła i rzekł głosem smutnym:

— Otóż, panowie sędziowie... kochałem.

I powtórzył:

— Kochałem.

Utkwił wzrok w podłogę u swoich stóp. Przesząpił z nogi na nogę.

— Nasze pożycie małżeńskie trwało trzy lata. Moja żona mnie nie kochała.

Nabrał w płuca powietrza, jak człowiek, któremu jest duszno.

— Nazywała się Aniela i, zaiste, podobna była do Aniołów. Olbrzymie niebieskie oczy i faliste złote włosy. Patrząc w jej oczy, nie można było nie być wzruszonym, a dotknięcie jej włosów napępiało mnie upojeniem. Ale nie byłem kochany. Za to ja kochałem ją z każdym dniem więcej. Kochałem ją do końca; do śmierci. Nie przestałem jej kochać i później... i teraz... Nigdy.

Zamilkł.

Publiczność powstrzymała oddech. Mogłoby się здаwać, że cisza na sali jest przepiękną sprężyną, którą oskarżony napina do ostatnich granic. Odczuwano nieokreśloną obawę przed katastrofą, która się przyczaja.

Oskarżony poprosił o szklankę wody.

— Na pół roku przed naszym ślubem wyjechał z Warszawy młody człowiek, w którym się moja żona kochała. Dowiedziałem się o tem dopiero w dwa lata później. Wypadkiem. Było to tak: ów młody człowiek nie dawał o sobie znaku życia przez dwa lata. Potem zaczął pisywać listy. Do Anieli. Ja go nie znałem. Jeden z tych listów wypadkiem wpadł mi do rąk. Wówczas zrozumiałem chłód Anieli, jej zamknięcie się w sobie, jej zadumy, jej częste roztargnienia. Myślała o tamtym, żyła myślą o tamtym.

Nie usłyszała odemnie ani jednego słowa wyrzutu. Nie powiedziałem jej nawet, że wiem o jej listach. Ale mnie napęliło rozgorzyczenie tak dojmujące, jak trucizna; uczulem się jak chory, jak ukąszony przez jadowitego węża. Zacząłem od Anieli stronić.

Minął jakiś czas. Widywałem żonę tylko podczas obiadu i to jaknajkrócej, gdyż prędko wstawałem od stołu, pozorując swoje zamykanie się w gabinecie niezwykle nawałem pracy. I istotnie była to praca. Siedząc nieruchomo w głębokim fotelu przy biurku, trawiłem długie, okropne godziny na zajadłej walce z tym upartym buntem, który nieustannie wrzał w moje sercu. Pragnąłem nie kochać! I kochałem! I wciąż kochałem! Panowie sędziowie, nie jestem w stanie dać wam wyobrażenia o tej strasznej męce. Wydawało mi się, że dźwigam na sobie potworny ciężar, który usiłuję z siebie zwalić, ale nie mogę tego uczynić, słabną, omdlewam, i ten miazdzący ciężar jeszcze mnie mocniej przygniata.

Po nocach zamęczała mnie bezsenność. A kiedy zasnął, budziłem się z krótkiego, nieposilnego snu raptownie i z nagłym zamiarem udania się natychmiast do pokoju żony. Zerwawszy się, siadałem na łóżku, dygocząc z gniewu. Byłem spragniony zemsty! Chciałem Aniela obudzić brutalnym szarpnięciem za ramię i rzucić jej w twarz oburzenie, że nie spostrzegła, co się ze mną dzieje, że znam jej tajemnicę, że jej postępowanie ze mną jest podle, że nikt jej nie może tak kochać, jak ja, że ja ubóstwiam, że ona mnie nie zna, że nie zna żarliwości moich uczuć i że jeżeli mnie lepiej pozna, a przecież to tak łatwo, to się przekonana, że ja jeden zasługuję na jej miłość, że bez niej nie mogę żyć, że szaleję, że konam!...

Lecz zamiast wstać z łóżka, kładłem się

na niem z powrotem i ukrywałem głowę pod kołdrą, zawstydzony nagle tą zabójczą—jasną myślą, że... że nie jestem kochany. Czy mnie rozumiecie, panowie sędziowie? Nie być kochany. Jeżeli się nie jest kochanym, to na to niema lekarstwa. Albo się jest kochanym, albo się nim nie jest. I koniec. Bardzo prosta sprawa. Można zwarjować, można sobie strzelić w łeb, nic to nie pomoże. Nic nie pomoże! Niema nic takiego, co by pomogło! Miłość chodzi po ludziach samopas. Przychodzi do ciebie i kochasz. Nie możesz powiedzieć: „Ja nie chcę.“ Musisz. Albo cię omija i wówczas nie kochasz. Nie możesz powiedzieć: „Chcę kochać.“ Nikt się tu z twoją wolą nie liczy.

Ja to rozumiałem. Rozumiałem wówczas tak samo dobrze, jak teraz.

Rozumiałem nawet podczas paroksyzmów gniewu. Panowie sędziowie, a jednak...! Jednak ta świadomość, zamiast na mnie wpływać uspakajająco, jątrzyła mnie jeszcze dotkliwiej, jątrzyła mnie dlatego, że mnie czyniła jeszcze bezsilniejszym, bo oto stawałem w obliczu zła nie do ujęcia! oko w oko z wrogiem nie do pochwycenia! Panowie sędziowie, pamiętacie bajkę o owym niedźwiedziu, który kamieniem zabił muchę na czole śpiącego człowieka? Niedźwiedź nie rozumiał, że jednocześnie zabija człowieka. I uderzył! Ja nie uderzyłem. Bo ja umiałem odróżniać. Aniela była niewinna. Tylko, że jej miłość była właśnie taką przeokropną muchą, zalazłą w serce, muchą nieznośnie natrętną, której niepodobna zabić, nie zabijając razem z nią człowieka! Och, zabić! zabić! Kipiący gniew wciskał mi w ręce kamienie!

Ale nie zabiłem.

Tylko zacząłem pić. Chciałem się ogłuszyć. Szukałem wesołego towarzystwa. Bywałem w kabaretach. Pijana szansonistka powiedziała mi pewnego razu, podczas gabinetowej kolacji w kilka osób, że mi przez oczy wypęła trup. Rozdokazywani towarzysze tej nocnej zabawy, spojrzeli na mnie ze śmiechem. I w jednej chwili zamilkli. Uczulem wówczas błądliwość swej twarzy tak, jak się czuje dotknięcie zimnej wilgotnej dłoni i uczulem, że mi z oczu wieje smutek, jak chłód z piwnicy. Nie wiedziałem co począć. Sięgnąłem po kieliszek i piłem. chociaż wiedziałem, że się nie upiję, bo trucizna, którą miałem w sobie, trawiła alkohol.

Ale nie oto chodzi, panowie sędziowie...

Odtąd nieustannie włókły się za mną słowa szansonistki. Nie mogłem się ich pozbyć. Świadomość, że noszę w sobie swego własnego trupa, napęliła mnie wstrętem. I gniewało mnie, że szansonistka ma słuszość, że rzeczywiście jestem martwy; że w środku jestem zeschły, pusty i zwietrzały; że tylko z wierzchu został pozór życia, łupina bez ziarna.

Zacząłem myśleć o samobójstwie.

Uwolnić ją i siebie. Zabić się...

Ach, kiedy zabić się, to znaczy odejść od niej! Prawda, że byłem zeschły, pusty, zwietrzały, ale nie byłem taki w stosunku do niej. W stosunku do niej, byłem żywy! och, byłem żywy, jak rozbolata rana. I godziłem się być raną! godziłem się konać, byle to trwało bez końca i u jej nóg!

Znów upłynęło kilka okropnych tygodni.

Zmieniłem się tak bardzo, że nawet bliżsi znajomi przestali mnie poznawać. Doznawałem zupełnego braku sił; głowa, kolana, ręce i palce drżały mi, jak gdyby były obsadzone na cienkich sprężynkach; wydawało mi się, że nie mam w sobie mięszu, że nie mam ciała, że cała moja wypalona, spopielała od wewnątrz postać, jest rozpięta jedynie na nerwach, niby na drucikach, i że dzięki temu jeszcze chodzę i wykonywam rozmaite ruchy. Kładąc się do łóżka, nie wierzyłem, że następnego dnia otworzę oczy.

W takim byłem stanie, panowie sędziowie, gdy nadszedł ów dzień.

Od kilku miesięcy sypiałem w gabinecie. Wstawałem późno, ponieważ zasnąć udawało mi się zwykle dopiero późnym rankiem.

W środę, o godzinie jedenastej, wbiegła do mnie przerażona służąca, mówiąc, że „pani“ umarła.

Nie zrozumiałem. Jaki to umarła? Aniela umarła? Ta nagła wiadomość nie umiała znaleźć wejścia do mojego mózgu. Nie zrozumiałem o co chodzi.

Wstałem bez pośpiechu i obojętnie poszedłem do sypialni żony.

Leżała w swoim szerokim łóżu na wznak, przykryta kołdrą prawie pod szyję. Wydawało mi się, że śpi.

— Pani nie oddycha — szepnęła służąca.

(D. c. n.)